

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Nasi zimowi goście.

Oto zima! Głodna, drżąca,
Ptasząt tuli się gromada,
Kędy blady promień słońca
Na zamarzlą ziemię pada.

Patrzenie, w zimnej śniegów toni
Jak szukają skrzętnie ziarnia,
Które czasem człek uroni...
Lecz niestety! praca marna.

I żalostnie znów szczebiocą,
I wiatr, chłuszcząc je, rozprasza.
Czyż nie przyjdzie im z pomocą
Okruszynka jaka nasza?

Ot, okienko się otwiera,
Iście Boża w nim czeladka:
Twarz chłopczyny jasna, szczerą
Obok siostra, za nią matka

— Dzieci — rzecze z łaski Boga,
Dosyć wszyscy mamy chleba,
Ptaszki głodzi zima sroga,
I im przecie strawy trzeba!

— Patrzenie! jakie to zziębnięte,
Jakie głodne każde ptasze!
Rzucicie ziarno na przynętę
To zimowi goście nasze.

Wdzięczne ptaszki już szczebiocą,
Już wiatr głodnych nie rozprasza.
Nakarmione, mroźną nocą
Znajdą kącik u poddasza.



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zbrodniarz nie zdążył zadusić ofiary. Krzyknęła tak przeraźliwie, że strach go zdjął. Noc była pochmurna, uląkł się, uciekł. Przedtem jednak szponami silnie zdławił dziewczeczkę-niebożę. Upadła zemdlnona i byłaby się zadusiła w sieciach, w które ją uwikłał, gdyby mnie Bóg nie zesłał. Stara Borucha ocaliła życie jednej niewinnej lilijce. Wzięłam niebożątka, przyniosłam na własnych rękach do tej oto kryjówki mojej i opieki gołąbeczce nie szczędzę. Ale z przestachu straciło biedactwo rozum, gada bez składu, siedzi nieraz po całych dniach bez ruchu i wpatruje się w płonące na kominie łuczywo. Co tam widzi? Czego chce od tego ognia? Jeno wtedy, pierwszego dnia, kiedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie, zawołała z błogiem rozradowaniem na bładem liczku! „Wyście nie Albert, wyście nie Niemiec! Boże mój, Boże, dziękuję ci, Panie“! I umilkła, znowu omdlała i tak przeleżała dzień cały, nie nie jedząc, nie nie pijąc. Na szyi jeszcze do dziś dnia ma sine, [krwawe pręgi. Udusić ją chcieli, Niemce, zabić, tak, jak moje dzieteczki niebożątka zabili.

Ucichła i stając przed wejściem chaty, napół zasłoniętem sosnowemi i świerkowemi gałąźmi, rzekła do rycerzy:

— Wejdźcie, sokoły, zobaczcie ją, może co poradzicie niebożątku. Podśledzałam w boru rozmowę waszą, wiem, żeście nie Niemcy, że do króla Łokcia wam pilno. Tutaj na polance, przed chatą, przenocujecie. Ani zwierz, ani Niemiec, ani nikt inny krzywdy wam tu nie zrobi.

Dąbek i Piętka w milczeniu słuchali słów starej kobiety.

Wszystko, na co patrzyli i co słyszeli budziło w nich podziw i zaniepokojenie.

Tak, tutaj przenocujemy — rzekł Stach — a o świcie wrócimy po nasze wierzchowce, któreśmy w gęstwinie na paszy zostawili. Po tych moczarach nie przeszłyby za nami.

— A teraz zobaczmy, czy ta stara prawda mówi czy rzeczywiście w tej norze opiekuje się jakimś biedactwem — mówił Piętka, którego bardzo zajęło to dziwne zdarzenie.

Stara zniknęła [w głębi swej kryjówki, a jednocześnie dał się słyszeć tęskny, bezdzwiczny śpiew dziewczęcy, w którym dzwiała nuta smutku wielkiego i którego bez bolesnego serca wzruszenia słuchać nie można było.

Rzuciwszy wzrokiem do wnętrza szalasiska, rycerze ujrzeli w jednym jego kącie na miękkim z mchów posłaniu klęczącą postać dziewczęci, wybladłej, ślady wielkiego cierpienia mającej w oczach przygasłych, ciemną rzęsą okolonych. Trzymała w ręku gałązkę leszczyny i przerywając sobie co chwila jakiś śpiew monotony, powtarzała w obłędzie:

— Nie dotykajcie tej chustki, to trucizna... Niemcom ją wydarłam. O nie dotykajcie jej, nie dotykajcie!

— Biedaczka! — westchnął Piętka — jakaś bolesna przygoda pomieszała jej zmysły.

— Wiecie waszmość — rzekł Dąbek — serce mi się kraje... Nie mogę patrzeć na takie nieszczęście.

Stara tymczasem dorzucała łuczywa do ogniska, w kotlinie po środku izby rozniecone, wydobyla kilka kawałków chleba razowego, który widocznie wyżebrała we wsiach okolicznych, posmarowała je miodem i do wieczerzy zachęcała.

— Jedzcie, jasne sokoły, jeśli tą strawą starej Boruchy nie pogardzicie. — Dawniej godniej-bym was przyjęła. Niemcy zabrali, wszystko mi zabrali. Na, masz i ty, gołąbeczko! — rzekła, zwracając się do nieruchomie wciąż klęczącego dziewczątka.

Małgoś, albowiem ona to była, ona, wychowanka sławnego wójta Alberta, wywieziona przez Fuksa do puszczy i cudem ocalona, wyciągnęła wolną rękę po chleb, drugą zaś mocniej jeszcze ścisnęła gałązkę leszczyny.

— Nie dotykajcie tej chustki, to trucizna! — powtórzyła nową głosem bezdzwicznym. — Małgoś was ostrzega!

— Bierze chleb z miodem do ręki, ale go wiele nie je, ta moja gołąbka! — żaliła się tura. — Jasni rycerze, Bóg was na mojej drodze postawił, ażebyście dali pomoc temu niebożatku. Ja nie nie mogę radzić. Umrze, jeśli się o niej ktoś ze świata nie dowie. Ja puszczy opuścić nie mogę, tu moje życie. Wieś nasza zburzona, spalona, wiatry ją rozwiały, popiół z niej i dym uniosły aż hen! hen! nad śląską granicę.

Oczy moje nie mogą patrzeć już na strzechę ojcowską, nie ujrzę jej nigdy... nigdy...

Piętka wszedł do niskiego wnętrza zadymionej izby i zbliżył się do nieszczęsnej Małgośi, odzianej w stary, podarty ubiór wiejskiej dziewczyny.

— Dzieweczko, Małgoś! — rzekł głosem silnym — zkad jesteś? kto godził na twoje życie? Powiedz, Małgoś!

Zamiast odpowiedzi dziewczeczka wstrząsnęła głową. okrytą bujnemi włosami, w nieładzie spadającymi jej na ramiona, przyknuła oczy i westchnawszy ciężko, zaczęła nucić bezdzwicznie jakąś piosenkę dziwną, której treści nie można było uchwycić.

— Małgoś! Małgoś! — wołał Piętka, mając nadzieję, że samowiedza choć na chwilę zabłysznie w zaciemnionym umyśle dziewczęci, ale na próżno, powtarzała ona wciąż jedne i te same wyrazy, z których niczego pewnego wywnioskować nie było można.

— Zostawcie ją, jaskółeczko, Bogu miłosierdnemu — rzekła Borucha. — Siła, moc ludzka, ani jej, ani mnie nie już nie pomoże. Temu niebożatku Niemcy rozum wydarli, a mnie strzechę ojcowską i działki miłe, i wszystkich moich, wszystkich serdecznych. Chciałabym ją ją, chciała ratować, ale nie wiem jak, nie wiem.

Usiadła na mchu, przyklęczącym wciąż dziewczątka i łagodnie je w pół objawszy, na kolanach sobie posadziła.

Małgoś nie bronila jej się, jeno jak ptak zraniony, tuliła się do [starej.

— Spocznijcie przed chatą, jasni rycerze, spocznijcie na mchach, sokoły, dopóki słonko wschodu nie zaróżowi. My tu tak usniemy z moją dzieciną.

— Pójdźmy! — rzekł Stach Dąbek, który ukradkiem otarł oczy łzami zaszele.

Dzielne jego serce, odważne wobec wroga, na polu bitwy, twarde jak stał wobec przeciwności, tutaj traciło swój hart. Młodzieniec nie mógł patrzeć na cierpienia takiej młodej a tak nieszczęsnej dziewczęci.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie nie stało małego pancernika, gdy z pomiędzy skał, które wznosiły się nad rzeką, wyszło dwóch innych pancerników, o wiele wię-

kszych od pierwszego. Zmierzały one widocznie także do padliny. Guapo, który lubił ogromnie pieczone pancerniki, mające smak podobny do prosięcia, zabiegł im drogę z bronią w rękę. Pancerniki zawróciły i umykały coraz szybciej; Guapo jednak mocny był nogach, więc już dopędzał jednego, gdy ten począł kopać ziemię z nadzwyczajną szybkością. Już był prawie do połowy zagłębiony w dziurze, gdy Guapo pochwycił go za ogon wiedząc jednak, że nie zdoła wyrwać go z jamy, starał się przynajmniej nie pozwolić, aby się zakopał głębiej w tym celu trzymał go silnie za ogon.

Tymczasem don Pablo i Leon gonili drugiego pancernika. Zwierzę, dobiegłszy do brzegu przepaści, zatrzymało się jakby rozmyślając, co ma dalej począć. Myśliwi, widząc to, byli pewni, że im ująć nie może i już wyciągali ręce, aby go zabrać, jak swego, gdy nagle pancernik zwinął się w kłębek i potoczył się po skalistym zboczu na dno przepaści. Po odbyciu tej karkołomnej podróży zdrowo i cało wyprostował się i zniknął w skalnej szczelinie.

Don Pablo i Leonek stali nad przepaściami w zdumieniu, aż ich odwołał Guapo, który wciąż trzymał za ogon swego pancernika. Don Pablo pośpieszył mu na pomoc, odkopał zagłębione do połowy w ziemię zwierzę, gdyż tylko tym sposobem można go było ująć. Guapo zabił go jednym uderzeniem siekiery w głowę, a wieczorem upiekł go we własnej jego skorupie.

Rodzina jaguarów.

Wszystkie drzewa chinowe, rosnące po tej stronie rzeki, były już ścięte i odarte z kory. — Don Pablo zdołał już wynaleźć dużą ilość podobnych drzew po drugiej stronie rzeki i obaj z Guapem zabrali się już do zrąbkiwania ich, zbudowawszy przedtem most z kilku pni palmowych.

Pewnego dnia zdarzyło się, że don Pablo zajęty był układaniem kory w spichrzu, Guapo zaś z Leonem pracowali na drugim brzegu rzeki, gdy nagle trzonek od siekiery Guapa pękł na dwoje, indyanin udał się do domu, aby siekiere oprawić, Leonka zostawił samego na przeciwnym brzegu rzeki, co mu się wydało bezpiecznem, gdyż dotąd nie dostrzeżono w okolicy śladów żadnego zwierzęcia drapieżnego.

Leonek, ukończywszy robotę, usiadł u stóp wysokiej skały i przyglądał się tukanom i papugom, gdy tuż obok siebie w zagłębieniu ściany posłyszał jakiś głos, podobny do miauczenia kota. Zaciekawiony poszedł zobaczyć coby to było i znalazł na spodzie tego zagłębienia gniazdo, a w niem dwoje małych o centkowanym futerku zwierzątek, które wydały mu się kociętami. Ponieważ w domu nie było kota, chłopak umyślił zrobić z nich podarunek siostrze. Wdrapał się do jamy, zabrał kocięta, które pomimo, że były malutkie, broniły się zawzięcie zębami i pazurami,

mi, wsadził je sobie pod pachę i uradowany poszedł do domu.

Guapo naprawiał jeszcze siekiere, don Pablo pracował w spichrzu, a donna Izydora z Leonką zajęte były w kuchni, gdy posłyszano głos Leonka, który wołał na nich z drugiego brzegu:

— Mamo! Leonko! patrzcie, jakie śliczne kociaki wam niosę.

Na te słowa don Pablo wypadł ze spichrza, a bronzowa skóra Guapo zbladła: pomimo oddalenia, obadwaj poznali, że to były małe jaguary.

— Nieszczęście! stare jaguary mogą lada chwila nadejść — zawołał z rozpaczą don Pablo.

A Guapo wołał na Leonka.

— Prędzej, prędzej, biegnij do mostu, póki czas jeszcze!

— Uciekaj prędzej, Leonku, jaguary cię gonią! — wołał rozpaczony Guapo, gdyż Leonek nie domyślając się niebezpieczeństwa, nie spieszył się zbyt szybko.

Zaledwie Guapo słów tych dokończył, dwoje zwierząt rozwścieczonych wyskoczyło z lasu. Były to rzeczywiście jaguary. Świadczyły o tem ich boki ceglastej barwy, ciemne plamy rozrzucone po skórze, ich wściekłość straszliwa; w kilku skokach znalazły się nad brzegiem rzeki, na drodze, którą przebiegał Leonek, pędziły nią jak strzały, wążąc ślady Leonka, kręcąc ogonami i każdym ruchem okazując gniew i niepokój.

Donna Izydora i Leonka krzyczały z przerażenia, don Pablo biegł naprzeciwko syna z nabitym pistoletem, a za nim pędził Guapo, który wreszcie skończył oprawiać swoją siekiere. Guapo i Leon biegli równolegle na obu przeciwnych brzegach. Guapo zawołał:

— Teraz rzuć jedno małe, pamiętaj — tylko jedno małe!

Leonek spełnił rozkaz, nie oglądając się za siebie. Guapo zaś po upływie kilku sekund zawołał znowu:

— Rzuć drugie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Stłuczony dzbanuszek.

Było to za życia świętego Jana Kantego. A ten święty Jan był księdzem w Krakowie i znali go ubodzy ludzie, jako że im siłą czynił dobrego miłością swego serca. Owóż powiadają, jako jednego razu szedł sobie do Łobzowa, wsi niedaleko do Krakowa. Idzie sobie noga za nogą i modli się wedle swego zwyczaju. Aż tu naraż od drogi słyszy jakieś ludzkie szlochanie i srogie narzekanie. Więc się duchem odwróci ku onej stronie i ujrzał właśnie nad drogą dziewczynę ubogą. Przed nią leżał na ziemi skorupy z potłuczonego

dzbanuszką, a ona płacząc aż ręce załamała, że jej się taka przygoda stała.

I zawołał na nią święty Jan:

— Duszko moja płacząca, zkąd ty?

Odrzeknie dziewczyna:

— A z Łobzowa, mój dobrodziejaszku.

Święty Jan znowu zagada:

— I któż tu zawinił, że taką szkodę masz?

— A któżby, jak nie sama — odpowie dziewczyna i dalej w płacz nowy i narzekanie. — Oj, będę ja miała od mojej pani, będę, com jej taką szkodę uczyniła, dzbanek z mlekiem rozbiła.

— Cyt dziecko! — rozkazał święty Jan — cyt mała! Płacz, to zła rada, na nic ci się nie nada, ani twoje narzekanie. Tu trzeba prawdę powiedzieć, jak się to stało, a wtedy może i zaradzę nieszczęściu twojemu.

Jęła dziewczyna prawić:

— A tak było mój złoty, mój wielmożny dobrodziejaszku! Dziś rano gospodyni mleka mi do dzbanka nalala i mówiła: Słuchaj, pójdziesz mi zaraz na Kleparz i za to mleko co go sprzedasz nakupisz krupek i soli. Duchem wybrałam się w drogę. Aż mi tu niebodze po drodze przyszło na myśl, że jutro mamy święto Matki Boskiej, więc należało by do naszego obrazu narwać świeżych kwiatuszków. Tak ci tedy myśląc o Matce Boskiej, pozieram dla Niej za kwiatkami na wianek i ot trzeba było nieszczęścia, że przy tej robocie wymknął mi się dzbanek i mleko się wylało i tak się stało mój dobrodzieju.

Skończyła dziewczyna opowiadanie i spojrzy po świętym Janie, myśląc sobie: mój Boże! czy też on mi pomoże?

A święty Jan stał milczący długo przed nią sierotką z Łobzowa, a w jasny promień ubrała się jego głowa, jak to widzimy u świętych pańskich na obrazach. Więc ona służka, widząc taką jasność nad głową świętego Jana, upadła na kolana i ręce złożyła iniby się do świętego obrazu modliła.

Aż powie święty Jan:

— Iżes była tak szczerą dla Boskiej Matki, zbierając dla Niej kwiatki, a tć za to Ona, królowa wsławiona, uczyni to przez sługę swego niegodnego, że będziesz pocieszona duszko moja.

I jako rzekł, tak zaraz nachylił się ku ziemi i począł zbierać rękami świętymi potłuczone skorupy dzbanuszką i składać jeden do drugiego, aż ci się z tego stał dzbanuszek cały, jakoby świeżo kupiony i ani znaku dopatrzeć, gdzie był uszkodzony. i rzeknie święty Jan znowu:

— Wstań, duszko, i przynieś mi wody w tym dzbanuszkę.

Posłuchała dziewczynka świętego rozkazu i z pobliskiego źródła przyniosła w dzbanuszkę czystą wodę. A skoro ustawiła przed świętym Janem: on ci jeno krzyż uczynił i jelen i drugi i rzeknie do dziewczynki.

— Patrzaj, jako naprawiona twoja szkoda!

Dziewczynka patrzy, a tu nie woda, jeno szczerę mleko w dzbanku. Dopieroż to uradowała się nieboga i jąla dziękować, po rękach i nogach całować dobrodzieja swego, św. Jana Kantego.

A potem już ci rozeszli się, każde w inną stronę; święty Jan do Łobzowa, a dziewczynka do Krakowa. A w Krakowie na Kleparzu sprzedała mleko wedle rozkazu, krupek, soli nakupiła i do domu wróciła.

Skarżyła się pani w domu:

— Ej ty niedobra dziewczyno, a gdzieżeś się bawiła tak długo?

Dziewczynka odrzekła:

— Stał ci mi się przypadek na drodze, bo mi się zbił dzbaneczek z mlekiem.

— A widzisz, że kłamiesz!

— A nie kłamię, dalipan! może mi zaświadczyć ksiądz Jan, co go znają w Krakowie nasi ubodzy ludkowie. On ci to mi dzbanuszek naprawił i z wielkiego kłopotu wybawił.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 9 początkowe litery składają imię i przydomek króla polskiego. Sylaby: yo-ar-wró-as-wil-lóz-lód-ki-ko-chi-du-kz-pe-sen-dek-lag-bel.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Ptak.
- 2) Przyrząd do pływania.
- 3) Karta.
- 4) Ptak.
- 5) Dwie samogłoski.
- 6) Odpoczynek.
- 7) Sprzęt do spania.
- 8) Gromada wysp.
- 9) Zwierzęta drapieżne.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 1.

I.
N I L
O N I
S O S

Decre rozwiązanie łamigłówek z nr. 1 „Aniola Stróża” nadesłała Franciszka Szramka.

